

Suma męskich przeżyć

JAN ENGLERT | Aktor i reżyser opowiada o „Ślubach panieńskich” w Teatrze TV i o tym, po co warto wracać do Fredry.

☛ Smutne te zrealizowane przez pana „Śluby panieńskie” – bardziej z ducha melancholii Czechowa niż lekkości i humoru Fredry.

JAN ENGLERT: Nie zgadzam się z panią. To, co ma być śmieszne, jest śmieszne, tyle że zostało opakowane w ramę adekwatną do czasu, w którym żyjemy. Wielu pytało mnie, po co się brać za tę ramotę. Ale obcując z tak napisanym wierszem i dialogiem, trudno nie mieć uczucia chodzenia po czystym strumyczku. Może i zimnym, ale czystym. Na początku, kiedy graliśmy to przedstawienie w Teatrze Narodowym, nie miało tak wielkiego powodzenia, jakim cieszy się dzisiaj.

Trudno jednak uwierzyć, by młodzi ludzie rozumieli, co mówi Radosť przyglądający się harcom młodych z perspektywy dojrzałości.

Naturalne, że młody człowiek nie rozumie, co znaczy odchodzenie, patrzeć wstecz. Jednak Radosť odchodzi, gwizdząc, nie jest smutny. Stwierdza, że „nie strach umrzeć, strach – umierać”. Tak jak i to, że „jak jest wieczorem, to kwiaty najpiękniej pachną”. Piękny tekst, z którym się identyfikuję.

Zagrał pan w „Ślubach panieńskich” i Albina w 1966 roku w Teatrze TV u Ireneusza Kanickiego, i Gucia w 1990 roku w Teatrze Polskim u

Andrzeja Łapickiego. Teraz Radosť jest sumą pańskich doświadczeń z tą sztuką?

Przed PWST zagrałem Gucia w Domu Kultury Muranów. A Radosť? Rzeczywiście jest jakąś puentą.

Sumą męskich przeżyć?

U Fredry – postarzałem Guciem. A u mnie to autoironiczny, odchodzący Fredro, mający świadomość, że jest reliktem przeszłości. Przypomina sobie miniony świat, może nawet go stwarza, idealizuje. Przecenia go, jak większość z nas.

A pan dołożył mu fragmenty fredrowskich „Trzy po trzy” i „Zapisków starucha”.

Pełnią rolę nawiasu komentującego akcję. Nie gramy przecież „jeden do jednego” historii naiwnych panienek postanawiających nie wychodzić za mąż. Świat walki płci o przewagę był, jest i będzie. Zmienia się tylko język i broń. Wtedy walczyło na igły, szpilki, teraz się walczy na cepy. Moje pokolenie wychowało się w kulturze wstydu. Dekadencja przełomu wieku spowodowała rozkwit gmerania w bezwstydzie. Zgubiło się poczucie humoru, umiejętność przyglądania się sobie z kpina.

Sztuka jest na afiszu Teatru Narodowego już 10 lat. Bohaterowie nieco posunęli się w lafach...

TVP



Spektakl jest efektem mojej pracy w PWST ze studentami – Patrycją Soliman i Marcinem Hyncarem. Kiedy zagrali scenę pisania listów, uznałem, że mam Gucia i Anielę. Upłynęło 10 lat, wszyscy się nieco postarzelismy, ale nie udajemy, że ta historia jest naprawdę, tylko ją reżyserujemy, bawimy się nią. Teatr to konwencja.

Potrzebne są widzom takie salonowe zabawy?

Bardzo widać u publiczności potrzebę ucieczki do jakiegoś porządku, choćby estetycznego. Najchętniej obejrzeliby bajkę i to z piękną puentą. Tylko twórcy albo ideologowie jeszcze uważają, że sztuka powinna bić, żeby aż bolało. Większość widzów już tego nie chce. A ja chciałbym, by mój teatr był tym, który –

dotyka. Prowokuje, ale nie obraża. To kwestia subtelności dotykania.

A może klasyka się zużywa?

Skoro Szekspira gra się 500 lat, bo jest permanentnie współczesny, dotyka spraw wciąż ważnych. Podobnie jest z Fredrą, tylko używając tu Gombrowicza – „jesteśmy drugorzędni”, chociaż ciągle się pompujemy na pierwszorzędność. Gombrowicz pięknie pisał o tym, że nieakceptowana drugorzędność może się stać obsesją i zniszczyć nam mózg. Właśnie jesteśmy na tym etapie. Grzech porównywania się z innymi towarzyszy nam od wielu lat. Dejmek nazwał go „prasłowiańską kiłą”.

I tak przeszedł pan do spraw poważnych...

Nie wiem, czy blahych. O tym w Narodowym gramy „Fredraszki” będące

kompilacją tekstów Fredry. Cytujemy Goszczyńskiego i innych zarzucających Fredrze, że nie jest ani polski, ani narodowy. Ze jest autorem niecenzuralnej „Piczomiry” piszącym blahe teksty. Że to żadna poezja i na dodatek, że pożyczka od Francuzów i Niemców. Druzgotali go. Zamilkł na 10 lat. Gdy wrócił do pisania, to już przeważnie prozą i bardzo gorzko. A prawda jest taka, że autora posługującego się z taką swobodą językiem polskim – ze świecą szukać.

Wśród młodych reżyserów nie ma wzięcia.

Bo to jest tekst nie dla reżysera, tylko dla aktorów i widzów. Młody reżyser nie bierze się za Fredrę, by go wyreżyserować, lecz co najwyżej, by zdemolować. Nie przejdę „Ślubami panieńskimi” do historii. A teraz jest parcie, żeby przejść do historii, a nie reżyserować.

Autorem zdjęć do spektaklu miał być Witold Adamek, który zmarł nagle przed rozpoczęciem rejestracji.

Na szczęście uratował nas Piotr Wojtowicz, który podjął się realizacji zdjęć. Witka Adamka zawsze mi będzie brakowało. W czasie wspólnej pracy, a wielokrotnie miała ona miejsce, byliśmy jak małżeństwo – w lot się rozumieliśmy. W przeddzień śmierci był u mnie i dwie godziny rozmawialiśmy. Świetnie rozumiał, czym jest w teatrze konwencja. Miał szacunek do formy i stylu. Był jednym z nielicznych operatorów, który słyszał, a nie tylko widział. Jak aktor zagrał coś nieoczekiwanego, zawsze to sfilmował. ©©

–rozmawiała

Małgorzata Piwowar



Więcej zdjęć ze „Ślubów panieńskich”

rp.pl/kultura